

ZBIERACZ

LITERACKI I POLITYCZNY.

POEMA BIBLIJNE, z HIOBA.

Człowiek srebro dobył z lochu,
I żyły złota wytropił,
Żelazo oczyścił z prochu.
I z kamienia miedź wytropił.

On się w swój matki zagrzywał wną-
(trżności,

Tam jój żyły rozpatrywa;
Kamién graniczny odsunął ciemności:
Wkrainie śmierci skarbcę zdobywa.

Kruszczem opoki przedząży;
Przędzie głębie głuchych cieni;
Na samotnej wód przestrzeni,
Po bez-ślednich wałach krąży.

Pod skałą, która na grzbiecie chléb
(rodzi,

Którój pieczary ogniem wypalone,
Człowiek, złotem opylone,
Łoże szmaragdu znachodzi.

Tam, kędy oko sępa niedosięże,
Gdzie nie pójrzał orzeł śmiały,
Gdzie jaskini zwierz nie lęże,
Ani kiedy lwy ryczały:

On się przekowa przez twarde krze-
(miénie,

Góry z korzenia wysadzi;
Zopok wypuści strumienie,
I kędy zechce prowadzi.

Wystąpić każe zdrojem z pod granitu,
Wyniesie wszystko, co ukryte nisko.
Ale, gdzie szukać mądrości pobytu,
Gdzie jest rozumu siedlisko?

Próżno człowiek o nią bada,
Nie u ludzi jój mieszkanie.
Nie masz jój we mnie! morze odpo-
(wiada:
Nie masz jój u nas! wołają otchłanie.

Próżne za nią ludzkie żądze,
Nie kupić jój za pieniądze.
My jój tu w sobie nie mamy!
Wołają góry i jamy

Pytać się o nią u PANA,
Bo Jemu, droga jój znana;
Bo On na wskrós przedzie słońce,
On okrąży świata konce.

On, kiedy wiatróm wydzielał wagi,
Gdy morze brzegiem osączał,
Kiedy dęszczowe rozwiészał flagi,
Piorunóm drogi oznaczał;

Wtedy ją widział, wybadał,
Rozpoznał, i imię nadał;
Wtedy rzekł: „Bojaźń Boga, mądrość
(śmiertelnego;
A rozum: chronić się ztego.”

Kazimierz Brodziński.

RAJ i PIEKŁO.
FANTASMAGORIA HISTORYCZNA
1529 — 1719.

PRZEZ

Józefa Kraszewskiego.

W roku 1629 w Wilnie, na ulicy Niemieckiej, idąc od ratusza ku Wileńskiej bramie, z prawej strony, stały obok siebie dwie kamienice, wielkie, piękne dwie kamienice, z pozor. Jedna wyższa i świeższa z wierzchu, bliżej Ratusza, druga za nią czarniejsza i brudniejsza, ale równej prawie z pierwszą wielkości. — Pierwszą z nich lud prosty nazywał *Rajem*, drugą obok *Piekłem*. Te nazwiska nie były nadane bez przyczyny bo zaraz w bramę tylko wszedłszy, znać było różnicę Piekła od Raju. — Wszedłszy do Raju widać było dziedziniec piaskiem wysypany, wschody na dwie strony czyste, szyby całe i wymyte, drzwi niepogruhotane, bruk wymięciony. — Cicho było. Czasem który z mieszkańców przechodził spokojnie modląc się, lub kobieta spiesząc do roboty. Pięknych kilkoro dzieci bawiło się w pogodną porę piaskiem na dziedzińcu, w klatkach zawieszo-

nych u galeryi świegotaly ptaszki, dalej za domem był sadek z zieloną murawą, z drzewami i altaną. Panem Raju był Karaim. — W piekle inaczej było. Wchodząc, dawał się spostrześć dziedziniec szeroki, brudny, smieciasty; rynny sączące wieczne pomyje; rynsztoki zapchane wyrzucaniami obrzynkami jarzyn i kości. Kilkoro psów wyło siedząc nad rynsztokiem, drugie tyle skamlało u drzwi mieszkań. Gwar, krzyk, stukanie drzwiami, dzień i noc nie ustawały. — Miauczały koty, warczały psy; krzyczały koguty, ryczały dwie krowy chude w obdartej z dachu przybudowce, ale więcej nad to krzyczeli i wrzeszczeli mieszkańcy. — Najgłośniejszym nad wszystkie głosy, był głos właścicielki, pani Doroty Janownej, córki kupca, żony próżniaka, która cały dom męża, i dzieci, i psy, i koty, i wszystko, co tylko w obręb jej państwa wchodziło, za nos wodziła niemiłosiernie. Od rana jak się obudziła, widać ją było w jednym trzewiku przydeptanym, drugą nogą boso, w rozwartą jupce z rozstrząśnionymi włosami, biegającą po galeryach, kłócącą się z miesz-

kańcami, bijącą zwierzęta i dzieci, swoje i cudze. — Tak upływał czas do południa, a kiedy wszyscy do stołu lub garnka zasiedli, na kilka chwil milczenie panowało. Potém znowu i pani Dorota i jej mąż i dzieci puł tuzina i szewc zdołu i woźny Trybunalski, i psy i koty, i krowy i koguty — krzyczeń, wrzeszczeń, ryczeń, wyczeń, piszczeń, warczeń, jęczczeń zaczynało, do wieczora. Wieczorem znowu na chwilę uspakajało się, zapalono światła, mało kto przebiegał po domu i dziedzińcu, prócz latających nietoperzów, szurów snujących się, kotów, i przemykających się kun. — W mieszkaniu pani Doroty słyhać było krzątanie się i hałas, były to przygotowania do uczty i zabaw, które u niej, w świątki i piątki, w posty i popielce bez różnicy, niemal codziennie się odbywały. Zaczynały się ze mrokiem schodzić postrojone, czerwone mieszczki, mieszczanie wąsaci, panowie Rajcy, panowie Burmistrze i Ławniaczy z trzech Jurydyk, Wójtowie i kunsztów szlachetniejszych Cechmistrze, panny Wileńskie z fosforycznymi oczyma i młodzież gwizdzą-

ca, tłumno, gwarno, szumnie i wesoło. — Jak się tylko wszyscy zeszli, zaczynała się żydowska muzyka, tańce, skoki, hałas, wrzaski. — Znow obudzone psy i koty krzyczały, pijaki klócili się, taczali po wschodach, leżeli w rynsztokach, czepiali się ścian i drzwi, krzyczeli, bili się — Było to piekło. — O tym czasie w raju, mieszkańcy modlili się i pracowali przed ogniem, kobiety przedły, mężczyźni rozmawiali jedząc, lub kończyli dzień modlitwą. dzieci koło matek stały rozmawiając z sobą po cichu, lub biegły chować się, szukać i znajdować po kątach. — Właściciel domu Benjamin, z długą siwą brodą, zwykle przy wrzasku dolatującym z piekła, kończył skromną wieczerzę, opowiadając synowi i młodej synowej swojej Racheli, własnego życia jednostajne dzieje, tym powagi pełnym biblijnym stylem wschodu, której pierwsze światła i prostotę ich wspaniała przypomina. — Kiedy wybiła siódma na półtegarzu godzina i na ratuszu gąszenie ognia przedzwoniono, służki zalęwały w kominach żar, światła gasły, dzieci kończyły

pobożne modlitwy za rodziców, rodzice za dzieci, żona za męża, mąż za żonę, i po pracy spokojnie zasypiali. — Taka była różnica raj i piekła; ale nie ta jeszcze przyczyna ich nazwania.

II.

Dawniej, sto-laty przed rokiem 1629, dwóch ludzi mieszkało w tych dwóch domach, a te domy były drewniane, małe i stykały się oba, tak, jak się potem dwie murowane kamienice zetknęły. W raju mieszkał starzec 80letni, w piekle chłopiec, który miał lat 20ścia kilka. — Starzec był ślepy, stary, chory i z łóżka już nie wychodził, miał córkę jedną, która go doglądała w jego boleściach pocieszała go, czytała mu księgi, przez które Bóg obiecał ludziom niebo, miała serce dobre, duszę ognistą, łzę woku na każdy jęk starca, pomoc na każdą jego boleść, pociechę na żal każdy. — Ostatek dni ojca zgryzionego pamiątkami, które mu życie truły i niemocą odbierającą mu wszystkie życia przyjemności jeszcze się czasem złościł pociechą dobrej córki. W ranniej godzinie, kiedy go ból obudził, pierwszy dźwięk spo-

tykający jego ucho, był głos Maryi i cały dzień ten tylko jeden aż do późnej snu godziny, dźwięczał w jego uszach, jak głos anioła. — Obok mieszkał młody właściciel domu, nie żonaty, a imie jego było Bruno. Sięrota od dzieciństwa, sam siebie prowadził po drodze życia, i to tylko widział dobrém, co mu na chwilę zmysły dobrém pokazywały. Wesoly jak ptak w powietrzu, niedbały o jutro, nie pamiętny na wczoraj, z cudzego i swego nie korzystając doświadczenia, za hasło życia wziął był sobie, Co chce to być musi. Przy nim, koło niego, było zawsze wiele młodzieży, gości, wino i do dziewczęt umizgi, od rana do nocy były ich zabawą i jedyném zatrudnieniem. Nie raz szcęk rozbitego przez pijaków pucharu, szumny odgłos choralnej pijaków pieśni przez słabą ścianę dolatywał do łóża konającego tak długo starca. Był to jakby głos światła, śmiejący się szydersko z jego boleści. — Nieraz córka, widząc cierpienie, jakie mu ten odgłos sprawiał, płakała, lub starała się zagłuszyć go, ale jej srebrny głosek niknął przytam-

tych, i starca jęki mięszały się z pieśniami. Bolesna była to sprzeczność wesela i otwartego grobu, jęków i pieśni. — Bruno widział Maryą nieraz i jej oczy zapłakane i pierś wzdętą, i różowe niby śmiejące się, bo do uśmiechu stworzone usta. Nieraz całego piekła wzywał na pomoc, aby jej dostać; potem, przy innych zabawach, kobietach, ludziach, zapominał o Maryi. Marya widywała go także, ale go nienawidziła. Ten człowiek wiecznie wesóły, z uśmiechem niezmazanym na ustach, wydawał się jej szatanem. Ona przywykła widzieć cnotę cierpiącą i jej młode serce inaczej sobie cnoty nie umiała wystawić, jak we łzach, smutną. — Raz na biesiadzie u Bruna, podochoceni towarzysze śmiać się z niego zaczęli, że słabego, ślepego starca córki żyjąc od niej o ścianę, uwięść nie umie. I tak dobrze wypiekali mu jego tebórzliwość, tak podwyższali cenę jej wdzięków, że Bruno nakoniec zgrzytając ze złości, krwią na twarzy zgniewu oblaony, przysiągł im, że tego dokona, ofiarując im zakład. — Był tam na tej biesiadzie, stary jeden szataniec, którego zwa-

no Czortubaackiém, ten z uśmiechem przyjął zakład, i swoją zmuru kamienną, obok stojącą ofiarował przeciw drewnianej. Zakład przecieli zszumnym uśmiechem towarzysze, a Bruno ich prosił, żeby miesiąc cały niczyja noga nie postąpiła u niego. Ciekawi przyrzekli i dotrzywali. — W parę dni zmięniwszy postać, spuściwszy oczy, przechadzać się zaczął Bruno mimo bramy Maryi, aby ją zobaczyć; do samego nawet domu zaglądał, pod tym lub owym pozorem, a dziewczyna oswojona powoli, przebiegając spoglądała na niego przyjaźniej, bo go widziała smutniejszym, a serce jej za powinność, za nałóg litość wzięło. — W tydzień, gdy wieczorem ojciec spał, a Marya w bramie siedziała na progu, wróciwszy z kościoła, Bruno znalazł sposób przemówienia do niej. Zaczął jej opowiadać jak przeszłego swego życia żałuje; wspominał jej o ojcu, użalał się nad nim, czasem łzy udawał śmiejąc się w duszy. Marya uwierzyła łzom i mowie, i tak się rozeszli. — Potem spotkali się znowu i coraz szczerzej rozmawiać zaczęli. Niewinna i prosta dziewczyna, opowiedziała mu,

co tylko ciążyło jęj na sercu, ón jęj żalował, cieszył ją, i nieznacznie w trąconém opowiadaniem, uściśnieniem ręki, rzuceniem oka, starał się ogień coraz głębiej, palący mu dusze, w niej zapalić. A ona miała już rok 20sty i czuła potrzebę kochania, połączenia swojego losu i serca z kimś drugim, bo do tego mieszała się myśl, że we dwoje lepiej ojcu dopomogą, niż ona jedna. — I tak coraz częściej się widywali, coraz poufalej byli z sobą; a Bruno zaczynał pozwoli przemawiać o losie przyszłym i kochaniu. — Ona milczała, lecz umyśliła pomówić z ojcem. W wieczór, jednego dnia, siedziała u jego łóża. Chory był spokojniejszym, oddychał tylko ciężko, a wkoło cisza była. Po chwili zapytał chory, co się dzieje z sąsiadem, że taki pokój od niejakiego czasu panuje w tym domu? — Ona opowiadać zaczęła, ojciec milczał, powiedział ci wszystko, jak się poprawił, jak się widują, nawet szepnęła coś o przywiązaniu, o losie przyszłym, o jego zamiarach. Potém zarumięniła się, wstała, wróciła durzyciela jeszcze słów kilka i rzekła niespokojna. A ojciec stary milczał długo i wraz

ciężej oddychał. — Słuchaj, odezwał się nareszcie: jesteś cnotliwa, Bóg ci twoję cnotę wynagrodzi. Ten człowiek to szatan, ón nie jest dla ciebie, tyś nadto dobra dla niego, ón się nigdy nie poprawi, ón tylko pod skórą owocą chciał ciebie uwięzić; nie widuj go więcj pod mojem błogosławieństwem Maryo! — Słuchaj mię, jam stary, mijaj kiedy przechodzi, uciekaj kiedy się zbliża. Znałem takich ludzi, zbrodniarz się kruszy, rozpustnik nigdy. Jego skrucha jak błyskawica przychodzi i mija, a za nią piorun idzie! Nie widuj go więcj Maryo, proszę, zaklinam, pod błogosławieństwem mojem. — Marya słuchała słabego głosu ojca i drżała. Chciała Bruna tłómaczyć, wymawiać przed nim, ale ón dodał jeszcze: — «Bóg ci da inne szczęście, ja, konający, ostatek siły zebrałem jeszcze, żeby cię oderwać od niego, ón piekło nosi z sobą, chce zje piekła i mego przekleństwa? Maryo! Maryo! nie widuj go więcj.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Znaczenie przeszłej Zagadki:

S n o p.